ROK X WARSZAWA, LUTY 1935 Nr. 2

Redaktor odpowiedzialny: **Ks St. Skierski**. Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4,

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

Ks. LUDWIK ZAUNAR.

Religijność życia.

Ew. Mateusza 5, 23—24: „A tak jeślibyś ofiarował dar swój na ołtarzu, a tambyś wspomniał, iż brat twój ma co przeciwko tobie, zostaw tam dar swój przd ołtarzem i odejdź, pierwej się pojednaj z bratem swoim, a potem przyszedłszy ofiaruj dar swój".

W poprzedniem rozmyślaniu swojem starałem się wykazać, na czem właściwie polega wielka nowość nauki Jezusa Chrystusa, gdy On sam słusznie stwierdza, że przyszedł na świat, aby jedynie wypełnić „Zakon i Proroki". Istota tej nowości nie polegała, jakeśmy widzieli, na głoszeniu nowych haseł czy zdań o Bogu i człowieku, nie powstała w jej konsekwencji jakaś nowa koncepcja religijna czy filozofja myśli religijnej, ale w jej wyniku powstało coś nieskończenie ważniejszego i większego ponad wszelkie koncepcje i filozofje, bo nowe życie i nowe społeczeństwo ludzkie. Jezus dlatego jest epokową postacią w dziejach ludzkiego społeczeństwa, że pierwszy i jedyny wcielił w idealny czyn prawo Boże, przenosząc je ze sfery dotychczasowej abstrakcji i marzenia w sferę tej rzeczywistości, którą każdy człowiek pospolicie nazywa swem życiem, a w której jednocześnie spostrzedz jest zdolny jedyny sprawdzian istotnej wartości głoszonego słowa czy hasła. Jezus swem wystąpieniem i całem swem postępowaniem wykazywał, że religja jest czemś bardzo wartościowem z życiu człowieka, ale tylko wtedy, jeżeli wejdzie do jego duszy i do jego życia jako czynnik konieczny, niezbędny i wiążący. Wtedy bowiem następuje w człowieku proces, który Jezus określa w Ew. Jana 3, 5: „narodzeniem się z wody i z ducha", proces, który przekształca jego pojęcie o sensie i wartości życia. Natomiast nie powinien człowiek traktować religji jako sfery, stojącej zdala od życia czy to pod pretekstem jej wzniosłości i strzeżenia jej od pokalania tym brudem, którego w tem ziemskiem życiu ma człowiek aż nadto, czy też pod pozorem

jej abstrakcyjności w ziemskich warunkach ludzkiego życia i dążenia do jego zaniku i upadku. W takich bowiem razach religja przeradza się w zjawisko czysto formalne, nie dające żadnych realnych wartości człowiekowi w jego doświadczeniach i trudnościach każdodziennych, a często staje się ciężarem, jarzmem, które nietylko nie krzepi, ale obciąża człowieka, gdyż z jednej strony jej wymagania są wielkie i ciążące, a z drugiej strony trudno pojąć ich sens i wartość. Taki zaś stan rzeczy deprawuje człowieka, uczy go bierności i względności w ocenie samego siebie, gdyż ma on zawsze łatwe wytłomaczenie w składaniu swej odpowiedzialności na barki tych, co kosztem pewnych formalnych, niezrozumiałych i niejasnych świadczeń obiecują dary Boże bez obawy, że ich obietnice mogą być skontrolowane i wartość ich sprawdzona naocznie.

Takie poglądy Jezus zwalcza i to nieraz — przy całej swej łagodności i miłości dla każdego człowieka — bardzo gwałtownie. Któż nie zna jego stosunku do patentowanych „religjantów" Jego czasów t. zw. faryzeuszów, których nietylko nie pochwala za ich „religijność" bezwątpienia niesłychanie gorliwą i absorbującą, ale wręcz ich zwalcza, nazywa publicznie „pobielanemi grobami", a uczniom swoim nakuzuje, aby się strzegli „kwasu faryzejskiego". I to tylko dlatego, ponieważ ci ludzie uczynili z religji f o r m ę, skomplikowaną i niesłychanie trudną w jej wykonaniu, a najzupełniej bezradną w regulowaniu życia, które szło sobie obok niej zupełnie innym torem, nie licząc się ani z jej pięknemi nakazami, ani z jej skomplikowanym systemem, a jedynie szukając w niej osłony dla niektórych zbyt brzydkich swych przejawów kosztem pozornego uświęcenia przepisu i formułki, może i trudnej, ale mimo to wygodnej, wzniosłej ale dającej poczucie nieodpowiedzialności i bezkarności wobec Boga, a tą drogą często i wobec ludzi. Jakżeż inny jest światopogląd religijny Jezusa, objawiający się choćby w słowach naszego tekstu, gdy nakazuje dać pierwszeństwo elementarnym nakazom codziennego życia, wymagającego dla ogólnego dobra poczucia sprawiedliwości i słuszności, nad przepisy kultu, który jakoby ma na celu sprawy Boże przy zaniedbaniu i zlekceważeniu Jego nakazów w życiu człowieka.

Jakże inną wartość przypisuje Jezus religji, gdy widzi w niej regulatora ludzkich stosunków, nieraz bardzo drobnych, pospolitych i codziennych. Bo czyż nie za rzecz drobną uważać zwykł człowiek spór czy nieporozumienie z innym człowiekiem, a nawet z bratem swym? Czy to nie jest dlań sprawą pospolitą i nieomal codzienną? Czyż nie żyje tem każdego dnia i nie widzi w tem stanu normalnego i faktycznego swego życia? Ale właśnie dlatego kładzie Jezus tak wielki nacisk na tę sferę życia, która dzięki swej powszechności, stałości i codzienności stwierdza to, co jest w niem istotne, rzeczywiste, co nie jest jedynie odświętną, ad choc nałożoną szatą, co nie kłamie i świadczy, jakim jest człowiek naprawdę, bez osłonek i faryzeizmu. W tej to dziedzinie powinna mieć religja swoje ważkie słowo do powiedzenia, o ile ma mieć istotnie wartość i cenę dla człowieka, i tylko pod tym warunkiem wolno od niej oczekiwać tych błogosławionych owoców, o których marzy każdy człowiek tęskniąc dora dości i szczęścia życia swego. Ale wtedy nie będzie ona mogła być jedynie wzniosłem ale pustem słowem, ani pięknym ale nic nie dającym obrzędem, ani wreszcie uświęconym może tradycją, ale zato bez skrupułu w razie potrzeby odrzucanym zwyczajem: może i musi być bowiem prawem, nie pisanem ani w paragrafy nie ujętem, ale tem nie mniej największem i najświętszem, którego nie wolno lekceważyć, a dla którego warto złożyć w ofierze wszystko, co życie tu na ziemi dać może człowiekowi, aż do życia samego włącznie! Tak rozumiał Jezus sam swoją religję, a jak jej był wiernym, o tem świadczy każda stronica Nowego Testamentu. Tak rozumieli religję wszyscy ci, którzy w swem własnem życiu usiłowali być wiernymi swemu Zbawcy w duchu i prawdzie, czy to będzie w czasach pierwszego chrześcijaństwa, czy w epoce średniowiecza z całym jego zakłamanym, formalnym scholastycyzmem kościelno-religijnym, czy w dobie płomiennych porywów reformacyjnych i ich dążeń do oparcia życia ludzkiego na „czystem, niesfałszowanem Słowie Bożem", czy później w dobie pietyzmu, czy wreszcie i dzisiaj w naszych dniach, gdy szukamy nowych dróg i pytamy o nowe cele i nową treść naszego życia, naszych doświadczeń, trudności i cierpień.

Wiemy również, że tak dla Jezusa, jak i dla jego wyznawców ducha i prawdy ta Jezusowa religja stała się istotnie wyrazem wielkiego błogosławieństwa nietylko osobistego, ale i ogólnego. Przejawiając się w nich jako święte, obowiązujące prawo codziennego życia, stała się jednocześnie

wyrazem wielkiej potęgi duchowej, jakiej nie umiał nigdy wytworzyć świat z całą jego mądrością hasłami, odkryciami i filozofjami. Możemy to stwierdzić patrząc w przeszłość na areny rzym skich cyrków, czy średniowiecznych inkwizycyj, stosów i klątw, na walki reformatorów i t. d. Lu dzie tej religji byli wielką wartością dla Boga, ponieważ poznali wartość religji dla życia poprze człowieka, ponieważ prawo Boże usiłowali uczciwie realizować tu, na ziemi, nie odkładając teg na nieznane „kiedyś" i nie robiąc zeń fetysza stojącego wysoko, ale zdala i bezradnie od dni powszedniego, będącego tem samem wzniosłości zaprzeczeniem. Religja bowiem, to nie piękne al puste słowo, lecz życie, zgodne z prawem Boga w Jezusie nam objawionem, a przeto życie czy ste, prawdziwie bogate i twórcze, nawet, o ile nie przedewszystkiem, w małych codziennych jeg przejawach. „A tak odejdź od ołtarza, pojednaj się najpierw z bratem swoim, a potem przyjd i ofiaruj dar swój".

Ks. Prof. D. Dr. R. KESSELRING.

ULRYK ZWINGLJUSZ.

(W 450 rocznicę urodzin wielkiego teologa i reformatora).

IX. (dokończenie

Jeden z wybitnych pastorów Kościoła reformowanego, H. Spörri w Hamburgu, wypowiedział o Zwingljuszu następujące charakterystyczne zdanie: „Zwingljusz nigdy nie był wobec Kościoła katolickiego tak pełnym pietyzmu, jak nim mimo wszystko był Luter". Ten pietyzm Lutra najwyraźniej występuje w jego poglądach i naukach o istocie drugiego sakramentu chrześcijańskiego: Komunji Św. Luter w nauce o sakramencie Wieczerzy Pańskiej odrzucał wprawdzie pojęcie ofiary mszalnej, transsubstancjacji, bronił prastarej formy udzielania Komunji Św. pod dwiema postaciami dla laików i kleryków, sprzeciwiał się kategorycznie nauce dogmatycznej katolickiej o działaniu sakramentów już „ex opere operato", wedle której to nauki sam sakrament, niezależnie od dyspozycji udzielającego i przyjmującego jakiś sakrament, wywiera błogosławione i zbawcze skutki. Jednakowoż nie mniej stanowczo przeciwstawiał się wszelkim usiłowaniom przypisać sakramentom charakter symboliczny. Nie występuje Luter przeciwko magicznemu charakterowi sakramentu Komunji Św. Komunijne chleb i wino są rzeczywistem ciałem i prawdziwą krwią Chrystusa, realna obecność Jego w elementach Wieczerzy Pańskiej jest dla reformatora Wittenberskiego rzeczą najzupełniej pewną, tak samo jakgdyby obok niego jakaś inna osoba, realna, przedmiotowa, była obecna. Nigdzie też Luter nie zdradza swego pokrewieństwa z teologją scholastyczną tak dobitnie jak w nauce swojej o istocie Komunji Św. W miejsce odrzuconej i potępionej nauki katolickiej o transsubstancjacji wprowadza swoją naukę o konsubstancjacji, wedle której w cudowny sposób w sakramencie Komunji Św. istnieją równocześnie ciało wzgl. krew Chrystusa i elementy tego sakramentu: chleb i wino. Tak samo istnieje Chrystus zmartwychwstały, siedzący po prawicy Boga, i istnieje Chrystus-człowiek, materjalny mający również atrybut wszechobecności (ubiquitas). Dla Lutra Komunja Św. nigdy nie przestała być masywno-realnym, przedmiotowym środkiem łaski, owem „pharmakon tu athanasias"—lekarstwem na nieśmiertelność - prastarego Kościoła. Poglądy Lutra zwyciężyły w artykule X Konfesji Augsburskiej z r. 153 wyraźnie, w t. zw. „Confessio variata" w zmienionej Konfesji z r. 1540, zmieniono ten artykuł w sposób następujący: zamiast słów: „corpus et sanguis Christi in coena Domini vere adsint" ciało i krew Chrystusowa w Wieczerzy Pańskiej prawdziwie są obecne — użyto słów „corpus et sanguis vere exhibeantur cum pane et vino", — ciało i krew Chrystusa w postaci wzgl. wraz z chlebem i winem są okazywane przedstawione. Ponadto nie znajdujemy już w zmienionej Konfesji nietolerancyjnych, przeciwko Zwingljuszowi skierowanych słów: „improbant secus docentes"—potępiają (scil. Ewangelicy) tych, którzy inaczej uczą. Autor Konfesji Augsburskiej zmienionej, Melanchton, zdradza tu już, że w nauce o istocie sakramentu Komunji Św. ulegał w pewnym stopniu wpływom Zwingljusza.

Zwingljusz zaatakował Lutra i jego poglądy na istotę sakramentu Komunji Św. z powodu pewnej połowiczności nauk Lutra, które zdaniem Zwingljusza, nie dość stanowczo i konsekwentnie uwolnił się od poglądów i poję

katolickiego dogmatyzmu i scholastycyzmu. Wprawdzie Luter słusznie porzucił naukę o transsubstancjacji, ale pocóż było wprowadzać różne nauki o konsubstancjacji, impanacji, ubiquitas i. t. p.? Dla Zwingljusza wszystkie takie subtelne rozważania: jak, kiedy, dla czego istnieje przemiana elementów nie mają znaczenia. Uczeń Erazma, w gruncie racjonalista, Zwingljusz do takich spekulatywnych „noumenów teologicznych" nie przykładał żadnej wagi. A jednak nic bardziej jak owe spory nad istotą sakramentu Komunji Św. nie wywołały tyle zgorszenia, niebraterskiego potępienia i rozdwojenia w naszym Kościele! Ileż z tego powodu musiał przecierpić nasz reformator Łaski, iluż nie przebierająca w wyrażeniach polemika wyznaniowa zniechęciła do naszego Kościoła, szczerze do niego przywiązanych!

Köhler (U. Zwingli, str. 87) wykazał, że Zwingljusz bynajmniej nie był tego zdania, że sakrament Komunji Św. posiada wyłącznie charakter symboliczny. W słynnych 67 tezach Zwingljusz wyraźnie stwierdza, że „o realną obecność" w sporze się nie rozchodzi, że sakramenty nie są też tylko „kościelnemi symbolami zbawczemi" (Kirchliche Heilssymbole), ale są „znakiem koniecznym"— Pflichtzeichen. Zwingljusz w 2 pracach: „Amica exegesis" — Przyjacielski wykład—i „Das ist mein Leib"— To jest ciało moje — z r. 1528, następnie podczas Kolokwjum w Marburgu 1529 r. zwalczał poglądy Lutra, że Chrystus „essentialiter et substantive" jest obecny przy Komunji Św., że „zębami swemi rozdzieramy ciało Chrystusowe", że nawet już samo fizyczne spożywanie elementów Wieczerzy Pańskiej wywiera błogosławione skutki. Na słowa Lutra, że tekst biblijny mówi o tem, jak Chrystus, ustanawiając Komunję Św., wyraźnie powiedział: „To jest ciało moje" ... „to jest krew moja", Zwingljusz przytacza cały szereg takich metafor czyli „tropów" z Pisma Św. Gdy Luter powołuje się na komentatorów starego Kościoła, wyjaśniających znaczenie tych słów, między innymi na Ojca apostolskiego Ignacego, na Hilarjusza z Poitiers, gorącego obrońcy nauki Atanazjusza, na Makarjusza, biskupa w Magnezji, Zwingljusz tłumaczy słowo „esti" — jest — przez „significat" oznacza. Spożywanie ciała Chrystusowego w oczach Zwingljusza nie posiada żadnego celu i wartości. Wprawdzie przyznaje, że w ewangelji Jana 6, 55 mowa jest o jedzeniu ciała i piciu krwi Syna Człowieczego w świętej Wieczerzy Eucharystji, ale w tym samym rozdziale mówi Chrystus: „Duch ożywia, ciało (sarks—mięso) jest bez wartości". (6, 63) Te słowa, na które Zwingljusz stale i zawsze się powoływał, nazywa „ein unzerbrechlicher Diamant", nie dającym się skruszyć i złamać djamentem. Jaką wartość, woła Zwingljusz, posiada sakrament Komunji Św., jeśli go przyjmujemy bez głębokiej wiary i wewnętrznego przekonania? Musimy jednak z drugiej strony zarzucić Zwingljuszowi, że chciał pozbawić ten sakrament jakiegokolwiek charakteru przedmiotowego, twierdząc, że ustanowiony został „ad nudam notitiam", ku wyłącznej pamięci śmierci Chrystusowej, jako jej najwznioślejszy symbol. Takie ujęcie znaczenia i istoty sakramentu Komunji Św. nie zadowoliło nie tylko Lutra, ale i Kalwina, który w liście do teologa Vireta w r. 1542 nazwał poglądy Zwingljusza zbyt profanicznemi i racjonalnemi. To, że Zwingljusz i Oekolampadiusz, przyjaciel reformatora zurychskiego i profesor teologji w Bazylei, w sakramencie Wieczerzy Pańskiej widzieli tylko „gołe, próżne figury", Kalwina przejęło taką nieufnością do dzieł Zwingljusza, że długi czas nawet dzieł jego czytać nie chciał!

Spory te, zrodzone z ducha fałszywego dogmatycznego zacietrzewienia i prowadzone z ubolewania godnym fanatyzmem, niestety nie obcym i naszemu Kościołowi, wyrządziły protestantyzmowi niezmiernie ciężką moralną i materjalną szkodę. Niejeden już za życia reformatora obawiał się smutnych następstw tego rozdwojenia i fałszywego zapału. Do nich należał i Jan Łaski, który, jak nasi historycy polskiego protestantyzmu podają, już w r. 1524 w Zurychu zetknął się z Zwingljuszem i przez niego rzekomo został pozyskany dla nowego Kościoła. Data ta jednak nie jest ścisłą, chociażby już z tego powodu, że istnieje t. zw. „przysięga Łaskiego z r. 1526", w której Łaski wyraźnie stwierdza swoją łączność z Kościołem katolickim. Nie jest to jednak niemożliwem, o czem Krasiński wspomina, że w rozmowie z Zwingljuszem Łaski wyrażał pewne wątpliwości co do „prawowierności katolickiego Kościoła". (Krasiński, Essai sur l'histoire religieuse des nations slaves, str. 187: „En 1524, il (Jean Laski) fut en Suisse, presenté à Zwingle, qui jetá dans son âme les premiers doutes sur l'orthodoxie de l'Eglise romaine"). Jeśli Łaski cieszył się fanatyczną nienawiścią, którą go obóz luterski darzył, to przyczyna tego leży w tem, że Łaski w niejednem się z Zwingljuszem zgadzał, zwłaszcza podzielał jego poglądy na istotę Komunji Św. Nie wchodząc w szczegóły tej dla nas tak bolesnej polemiki międzywyznaniowej dwóch bratnich Kościołów protestanckich, stwierdzamy tylko, że żałować należy, iż Komunja Św. wedle pięknych słów Kalwina nie stała się „vinculum coniunctionis", węzłem zjednoczenia, „pour tous les fideles, pour tous les enfants de Dieu", dla wszystkich wiernych, dla wszystkich dzieci Bożych.

Zwingljnsz nie był u nas w Polsce tak znany i ceniony jak reformator wittenberski lub genewski. W okresie działania Zwingljusza u nas w kraju zaledwie tu i ówdzie ruch reformacyjny dopiero powstawał. A kiedy w dru-

giej połowie 16 stulecia reformacja w Polsce dochodziła do znaczenia, dawno już Zwingljusz nie żył. Jednak imię Zwingljusza i dzieła jego nie były u nas obce. Jan Maczyński, sekretarz księcia Mikołaja Radziwiłła, zwraca się do Konrada Pellikana, profesora teologji w Zurychu, w liście następującemi słowami: „Calvini et Zwinglii opera communiter magno cum applausu apud nos iam leguntur" — Dzieła Kalwina i Zwingljusza powszechnie u nas już są z wielkiem uznaniem czytane. (por. Wotschke, Der Briefwechsel der Schweizer mit den Polen, Lipsk 1908, str. 28). Przeciwko Zwingljuszowi wydał swój paszkwil osławiony Orzechowski (Wotschke, 53). Lismanin wysłał 1556 roku paszkwil ten W. Musculusowi, prof. teologji w Bernie Szwajcarskiem, i doniósł 4 lat później Janowi Wolfowi: „Dicete al signor Simlero, che l'Orichovio non cessa scriver contra li Zwingliani"– donieście Simlerowi (teolog zurychski), że Orzechowski nie przestaje pisać przeciwko Zwingljanom (Wotschke, 118). Pastor krakowski, Grzegorz Pauli, jeden z pierwszych Braci Polskich, w słynnym liście do teologów zurychskich wyraża się: „Non dederat Dominus Luthero omnium, plura Zwinglio" — nie dał Pan Lutrowi wszystkiego, więcej udzielił Zwingljuszowi (Wotschke, 202).

O sławnej wówczas teologicznej szkole zurychskiej, której założycielem i prawdziwą ozdobą był Zwingljusz, nasz Krzysztof Trzecieski w liście do Rudolfa Gualtera w Zurychu, który wydał pierwszy zbiór dzieł Zwingljusza w r. 1545, nazywa Zwingljusza „restauratorem verae doctrinae", odnowicielem prawdziwej nauki, a siebie „vestrae ecclesiae ac scholae ut nutrici ego alumnus semper bene adfectus fui"—byłem waszego Kościoła i szkoły, jako żywicielce, zawsze dobrze przywiązanym wychowankiem. Jakżeż pięknie R. Gualter w liście do Piotra Zborowskiego dziękuje za listy otrzymane, w których Zborowski wspominał Zwingljusza, nazywając go apostołem Szwajcarji. (mentio Huldrichi Zwinglii, nostrae Helvetiae apostoli). (Wotschke, 398, 407).

* * *

Przedstawiliśmy w krótkich słowach życie i działalność Zwingljusza, nie idealizując ani jego postaci ani jego dzieła. Nie ukrywaliśmy żadnego, nawet negatywnego rysu istotnego, który mógł uwypuklić obraz naszego reformatora. Porównywując Zwingljusza z innymi reformatorami, zwłaszcza z Lutrem, zależało nam na tem, wykazać, w czem leży dziejowe, nieprzemijające znaczenie tej wybitnej indywidualności dla naszego Kościoła, zarówno dla reformowanego jak też i dla luterskiego. Wszyscy ci, którzy wpatrzeni w jakieś świetlane cele, ku którym dążyli, nie dali się zrazić żadnemi przeciwnościami i poprowadzili ludzkość naprzód, zdobyli sobie prawo, by nazwiska ich, pamięć ich czynów, ofiarności, trudów i znojów nie poszły na marne. „Pamiętajcie na wodzów waszych, którzy wam mówili słowo Boże, których obcowania koniec upatrując, naśladujcie wiary ich", tak woła nieznany autor listu do Hebrajczyków (13, 7).

O tym końcu życia naszego reformatora, który nie zniweczył, ale wspaniale ukoronował dzieło jego, słów kilka nadmienić wypada. Jakżeż piękną jest śmierć Zwingljusza na krwawem pobojowisku pod Kappel 11 października 1531 r. Prawdziwy pasterz nie opuszcza swej trzody w dniach walki, nieszczęść i klęski. Fałszywi tylko prorocy pod groźbą i grozą śmierci wyrzekali się swoich przekonań. Do nich nie należał Zwingljusz. Kiedy padł ugodzony potężnym ciosem własnego, katolickiego rodaka, który przebił hełm Zwingljusza, słońce zachodziło. Purpurowe jego promienie spadały na śmiertelnie bladą twarz reformatora, proroka, apostoła i bojownika. W dali cudne pasma gór szwajcarskich już pokrywały się całunem szarych chmur. Tylko szczyt góry Rigi i Pilatus świeciły się czas jakiś niby rozżarzone węgle. Ku nim, ku ukochanym swoim górom ziemi szwajcarskiej, zwrócone były gasnące oczy Zwingljusza. Ktoś usłyszał ostatnie jego słowa: „Tylko ciało moje, nigdy duszy zgubić nie możecie".

Na pobojowisku zapadła noc a z nią nastała wielka cisza, cisza śmierci dla wielu dzielnych bohaterów, poległych w obronie swego sztandaru, swojej wolności i świętej, jak wierzyli, sprawy. O śmierci Zwingljusza historja podaje nam kilka szczegółów. Że zwłoki Zwingljusza rozćwiartowano, spalono i prochy na cztery strony świata rozsypano, było często spotykaną formą unicestwienia śmiertelnych szczątków kacerzy! To nas dziś nie przejmuje taką goryczą i żalem jak słowa Lutra, który, otrzymawszy wiadomość o śmierci Zwingljusza, nie zapomniał o swoich urazach i wyrzekł: „Er ist gestorben wie ein Morder", umarł jak morderca. Nam po wszystkie czasy przyświecać będzie pamięć Zwingljusza jako jednego z wielkich i szlachetnych bojowników o prawa religijnego sumienia, o oświatę, ład i porządek, o wolność kraju i niezależność własnego społeczeństwa, „mężnego, zdrowego i prostego chrześcijaństwa" (Dilthey). Ponieważ takim był, mimo ułomności i niedoskonałości, jakie do niego i dzieła jego przylgnęły, lepiej od potępiających słów reformatora wittenberskiego do zgonu Zwingljusza przystosować możemy słowa umiłowanego przez Zwingljusza poety łacińskiego Horacego:

„Multis ille bonis flebilis occidit".
Zginął on wielu zacnym ku żalowi.

Jeden z wybitnych poetów szwajcarskich, K. F. Meyer, o działalności Zwingljusza tak się wyraził:

„Rzuciłeś ziarna myśli swych
w bezkresną dal.
A z myśli tych mocarnych bije
czynów stal.
Ugorem krwawej pracy twej: ciemny,
brzemienny czas,
A celem orki: Boże nieść słowo
między nas".

KAZIMIERZ KOSIŃSKI.

JERZY LIEBERT.

(ciąg dalszy)

Liebert był jednym z tych, którzy doznali na sobie błogosławionych skutków przyjaźni. Czy wynika to z uspołecznienia jednostki, czy z jej uduchowienia, czy też z walorów osobistych, czy z postawy moralnej wobec życia, niewiadomo, ale mógł on, jak młodociany Mickiewicz, całkowicie doceniać przyjaźń w życiu. Miał on przyjaciół śród rówieśników, pośród pisarzy i krytyków, którzy nadewszystko cenili jego talent. Sam darzył również przyjaźnią wielu, jeszcze na ławie szkolnej i później w życiu. Dzięki przyjaciołom stała się też możliwą jego kuracja w Worochcie. Miał zapewniony zasiłek z Departamentu, otrzymywał dobre honorarja za swoje recenzje i wiersze. Dbali też przyjaciele o pokarm jego duchowy, przysyłali mu czasopisma i książki, których dużo czytał. Jak dowiadujemy się z listu do Rafała Blütha, bez daty, ale z r. 1930, czytał wtedy w Worochcie Pamiętniki Trockiego, Nienasycenie S. I. Witkiewicza, Jestem głodny Finka, o której to książce pisał: „dziwnie mi jest bliska... jest dla mnie tak dziwnie czysta, tak głęboko ludzka, tak bardzo franciszkańska, a tak tragiczna do głębi... To jest Głód Hamsuna naszych czasów. Ta beznadziejność ostatnich stronic, ten próg, poza którym zostaje tylko chrześcijaństwo albo obłęd — to są stronice wielkiego talentu i świadectwo niezwykle czystej i pięknej duszy"... Z innego listu, z 6 paźdz. 1930 r. dowiadujemy się o przeczytaniu Starzewskiego monografji o J. Piłsudskim, książki prof. Tretiaka o Byronie, która go nie zachwyci ani metodą ani też kompozycją i prof. Brücknera Dziejów kultury polskiej. W jeszcze innym liście, z 9 grudnia 1930 r. donosił o przeczytaniu Buddenbrooków Manna i Sagi rodu Forsytów Galsworthy'ego. Czytał również Józefa Rotha w przekładzie Wittlina Ucieczkę bez kresu, Flauberta Szkołę serc, a nienadługo przed śmiercią Odyseję, również w przekładzie Wittlina, przez niego mu przesłaną, nadewszystko jednakże zaciążyła nad nim wtedy Góra czarodziejska Manna. Pozatem cały szereg pozycyj lektury recenzyjnej, co wobec choroby świadczy o gorączkowem jego życiu intelektualnem. W ostatnim miesiącu życia zatęsknił do sienkiewiczowskiej Trylogji.

Ciekawy był jego stosunek do książek, które dla niego żyły i mówiły bezpośrednio. Cała jego uwaga i energja szły w kierunku zjawisk literackich, reagował na nie bezpośrednio całym sobą. Dużo miejsca poświęcał im w listach.

Choroba jednak nie dała się uśpić ani wzruszyć lekturą, rujnowała organizm, zbliżając go nieubłaganie do śmierci. Były okresy lepsze, np. w lecie 1930 r., w których czuł się zupełnie dobrze; wierzył wtedy w odzyskanie zdrowia. Ale z gruźlicą, jak z gruźlicą. Nagle następowało pogorszenie i wywiązywały się choroby inne na tle „swoistem". Takie pogorszenie nastąpiło już jesienią 1930 r., gdy Liebert przedtem zdawał się już zapominać o swojej tragedji gruźlicy. A jednak wtedy właśnie, czasu polepszenia zdrowia, zrodziły się jego wiersze o chorobie i śmierci, jakby niezależnie od sytuacji. Powstałe wtedy liryki sam uważał za odprysk lektury Manna, nie wyłączając nawet Pieśni o zagładzie. Doszło do tego, że kiedy swoje wiersze o chorobie i śmierci zobaczył w druku w któremś z czasopism, sam się zatrwożył i pomyślał wtedy o sobie. Choroba i śmierć narzucały mu się jako temat, a usprawiedliwieniem dla tamtych wierszy miały być Gorzkie wióry, które były jeszcze bardziej śmiertelne. Kończył swoje Gorzkie wióry już w czasie niespodzianego pogorszenia zdrowia. Powiększone gruczoły wnękowe dały w rezultacie wysoką gorączkę. Zaczęło się długie leżenie w łóżku, przerywane pozornem zdrowieniem. Ta jesień 1930 r. była ciężka: po gruczołach przyszła grypa, jedna i druga, nastąpiło zapalenie płuc, potem zapalenie opłucnej, a potem gruźlica zajęła krtań i gardło. Wal-

czył z chorobą po bohatersku, wyrywał się śmierci, przeżywał upadki ducha, znów budził się do nadziei i tak bez końca. Śmierć najwidoczniej krążyła już koło niego i zaglądała do domu. Jesienią t. r. zdechł jego ulubiony kot Kubuś, najmądrzejszy z kotów, jak mówił. Śmierć kota ulubieńca w domu chorego na gruźlicę była przykra i chory odczuł ją boleśnie. Nic, że to umierał kot; sam fakt śmierci w niczem się przez to nie umniejszał. O tym umarłym kocie wspominał Liebert w liście do Rafała Blütha z takim serdecznym żalem, jak o kimś naprawdę bliskim. W tym samym liście (6 października) donosił, że już nadeszła jesień „przymrozki, liście lecą i jak w Puszkinowskiej Jesieni psy po całych nocach ujadają. Ale są dnie pięknej pogody i huculski październik nie zawsze smętny". O sobie zaś pisał wtedy: „Czuję się trochę lepiej. Lewe płuco podobno zagojone, w prawem wciąż lasecznikі żerują, a i gruczoły płucne w nieporządku, a to największe świństwo, bo przewlekłe. Mam dni lepsze, dni gorsze, trochę piszę, dużo czytam". Robiono mu w tym czasie zastrzyki złota, które jednak musiano przerwać ze względu na wątrobę. Czytał wtedy Kleinera monografję o Słowackim i potężne zrobił na nim wrażenie przytoczony tam opis śmierci Słowackiego na gruźlicę. Czytał go kilka razy z bolesnym wyrazem twarzy. Zaczynały się teraz jego wypowiedzi o śmierci, najczęściej rano po niespanej nocy, kiedy o śmierci najwidoczniej myślał. Do tego bał się letargu, który prześladował go wizją. Przewlokła się tak zima i wczesna wiosna, a w początkach maja zajrzała śmierć ponownie do jego domu. Umarła wtedy matka gospodyni — staruszka. Noc, w czasie której przygotowywano dla niej trumnę, była dla chorego nie do zniesienia. Jakoż nad ranem dostał nerwowego wstrząsu i z trudem można go było uspokoić. Wreszcie wysłali go lekarze na prześwietlenie płuc do Stanisławowa. Dnia 19 maja, a zatem na miesiąc przed śmiercią, dało to prześwietlenie nadspodziewanie świetny wynik: że chory wrócił do zdrowia, że rany w płucach są zagojone, kiedy gruźlica miała się niebawem na mózg przerzucić. Tego samego dnia jeszcze dostał w Stanisławowie gorączki, wrócił więc do Worochty i... znów się położył. Dnia 10 czerwca wyprawili go lekarze do Lwowa na klinikę, najniepotrzebniej w świecie. Chory już tracił przytomność. Mówił wtedy w malignie jakiś wiersz, w którym powtarzało się coraz: U bram złocistych niebieskiego dworu, co świadczyłoby o jakiejś wizji przedzgonnej.

14 czerwca nieprzytomnego wywieziono ze Lwowa do Warszawy. Były okresy, że odzyskiwał przytomność. Pozatem ślepł. W Warszawie noc okropna w szpitalu Dzieciątka Jezus na oddziale neurologicznym dr. Orzechowskiego, a nazajutrz twardy wyrok lekarza: „Jeżeli państwo chcą mieć ciało bez kłopotów, to proszę go zabierać". Wtedy przeniesiono go do mieszkania rodziców.

Zmarł 19 czerwca o godzinie czwartej rano. W chwilę po jego śmierci, pośród stężałej bólem ciszy, zaczęły zlatywać na parapet okna ptaki, gromady ptaków.

* * *

Przechodzimy do problematów Lieberta w jego twórczości. Jak wspominałem, przedwczesna śmierć artysty przesłaniać zwykła jego dzieło. Tak więc z Lieberta robi się już teraz poetę śmierci, jakoby z nią współżył i tworzył w przeczuciu wczesnego zgonu. Powiedzmy jednak wyraźnie: Liebert poetą śmierci nie był. Nie postawił w swojej twórczości jej problematu i nie starał się go rozwiązać w negacji czy afirmacji życia. Może się to wydać paradoksem, ale większym poetą śmierci był Kochanowski w Trenach, który ją głęboko przeżył jako najboleśniejsze zagadnienie, dotyczące człowieka. Liebert zaczynał twórczość swoją od radości życia i od kultu przyrody. W swoich wierszach młodzieńczych, jak Kwiecień, Wiosna, Wagary, Zachęta do ucieczki, Wakacje przejawił maximum poczucia piękna i życia w przyrodzie, która upajała go zielenią i słońcem. Wyczuwał doskonale nurt wewnętrzny wegetatywnej siły natury, którą ogarniał szał wszechżycia na wiosnę:

Gotuje się żywica,
Piekło, piekło zielone.
Ptaki, jak kamień z procy,
Furkocą oślepione.

Te ptaki, drzewa, zwierzęta, nawet obłoki są oszalałe z radości na wiosnę, ziemia, jak u Tuwima, ma w sobie coś z rodnej samicy, acz bez drastycznego realizmu tamtego. Toż samo smutek przyrody przemawiał do niego jesienią, która nie skąpi pozatem uśmiechów, oswabadza przestrzenie, złoci się owocami w promieniach słońca przy akompanjamencie wiatru. Niema tu wrażeń śmierci, jedynie smutek przelewa mu się w duszę od świata:

Jabłka na drzewach tańczą,
Szum wznosi się i odchodzi.
Słońce nagle przygrzeje,
Wiatr się zerwie — ochłodzi.

Uśmiecham się. — W uśmiechu
Jest cała prawda smutku.
Ale nikt, nikt nie widzi,
Jak płaczę pocichutku.
(w. Początek jesieni)

Liebert w wczesnej swojej twórczości pesymistą nie był, chociaż pesymizm u początkujących poetów staje się zjawiskiem nader częstem, nietylko przez sam fakt, że cierpienie i śmierć stanowią najcodzienniejszą powszedniość ludzką, ale że jest tradycją w poezji, której każdy ulega w swoim młodzieńczym Śnie życia.

O Liebercie, jako o poecie śmierci, mówić możemy dopiero na podstawie jego choroby. Możnaby go tu porównać, ale nie z Sępem-Szarzyńskim, jak to czynią niektórzy, tylko z Klemensem Janickim, u którego nuta śmierci dźwięczała również w przeczuciu wczesnego zgonu z powodu nieuleczalnej choroby, bez samego jednakże problematu śmierci. Podobnie u Lieberta, mamy do czynienia z realizmem choroby, a nie z zagadnieniem śmierci, jako takiem; myśli o śmierci darzą go jedynie wizją pogrzebu.

Jak wiemy, na jego wiersze o śmierci i chorobie wywarła wpływ wybitny Góra czarodziejska Manna. Zdawało się nawet samemu poecie, że jego worochtańskie wiersze odnośne powstały pod bezpośrednim wpływem Manna, że tylko sugestji powieści zawdzięczał to, iż gruźlica narzucała się jego wyobraźni, jako temat, w czasie, gdy zdrowie zdawało się widocznie polepszać. Było to jednak złudzenie człowieka, który myślał o śmierci podświadomie i, powiedzmy, podświadomie bał się śmierci, a te nastroje musiały się potęgować przez fakt lektury powieści, przejmującej do głębi w swym realiźmie opisów i obserwacyj. Autor Góry czarodziejskiej szukał jednakże syntezy zagadnienia śmierci, zapominając o tem, że cokolwiek myślelibyśmy i pisali na jej temat, śmierć pozostanie zawsze w duszy człowieka rzeczywistością psychologiczną, wobec wyobraźni, nasuwającej obrazy rozkładu ciała, przed którym cofa się myśl strwożona. Nie pomoże tu nawet wiara z dualizmem ciała i ducha, która w średniowiecznej poezji religijnej nie umiała na moment jeden odsunąć od wyobraźni człowieka obrazu przemian jego pośmiertnych w grobie.

Filozofja śmierci Manna w Górze czarodziejskiej idzie po linji przeciwstawiania śmierci życiu. Za jedyny zdrowy, szlachetny i religijny sposób patrzenia na śmierć uważał Mann, aby traktować ją jako niezbędną i składową część samego życia, które przez śmierć jedynie może się odradzać. Śmierć, traktowana od życia niezależnie, staje się dla człowieka potworną i upiorną. Pozatem autor Góry czarodziejskiej rozumuje tak: „Ciało należy szanować i bronić, o ile chodzi o jego emancypację i piękno, o wolność zmysłów, o szczęście, o rozkosz. Ale trzeba niem gardzić jeżeli przesłania światło, jako zasada ciężkości i bezwładności, odwracać się od niego, jeżeli reprezentuje istotę choroby i śmierci, jeżeli jest przepojone duchem przeczenia, duchem zgnilizny, rozpusty i hańby". (tom II, str. 110). Dowodzi również, że już w samej istocie organizmu, w samem nagromadzeniu tam materji, kryje się potencjał śmierci. Jedynie tylko miłość może być jej przeciwstawieniem w potędze swojej radości życia. Racjonalizm nigdy nie wypełni pustki śmierci. Na jej rozłogach jedynie miłość jest siłą twórczą, co stwierdzał już Platon w Uczcie. W rezultacie „śmierć się nie przeżywa. Wychodzimy z mroku i idziemy w mrok, pomiędzy tem leżą przeżycia, ale początek i koniec, narodziny i śmierć, tych nie przeżywamy, nie mają żadnego podmiotowego charakteru, jako zdarzenia należą w całości do dziedziny przedmiotowej". (tom III, str. 304). Ostatecznie autor Góry czarodziejskiej stara się za wszelką cenę dojść poprzez zasadę życia do negacji śmierci. A ponieważ śmierć unicestwia człowieka, przeto „w rzeczywistości śmierć nasza jest więcej sprawą pozostałych przy życiu, niż naszą własną", ponieważ, dopóki jesteśmy, niema w nas śmierci, a gdy jest śmierć, to niema w nas życia, czyli niema nas samych. Brak zatem między nami a śmiercią istotnego realnego związku i śmierć jest faktem, który nas nic, a obchodzi trochę tylko świat i naturę. (tom III, str. 295).

Rozumowanie to nie może unicestwić jednej prawdy, że człowiek śmierć przeżywa, i że to przeżycie może stać się wizją duszy, która omroczy się grobem i przerazi pustką. Tej samej pustki śmierci nie mógł już Kochanowski w Trenach wypełnić racjonalizmem filozoficznym i uciekł się do modlitwy w potrzebie duszy wypełnienia jej Bogiem.

Wracając do Lieberta, musimy stwierdzić, że nie usiłował on bynajmniej umniejszać zagadnienia śmierci przez pogłębiony problemat życia, że problematów śmierci nie stawiał on wogóle, czuł ją tylko głęboko i oglądał oczyma duszy w chorobie. Nie będzie zatem Liebert t. zw. poetą śmierci, jeżeli, to chyba tylko poetą gruźlicy, którą opisał z jaskrawym i wstrząsającym realizmem. W tym jego realiźmie gruźlicy motywem naczelnym staje się... termometr, mierzenie gorączki, obok analizy samej choroby, która, jego zdaniem, za życia już rozkłada człowieka. Termometr w tych wierszach występuje raz po raz, staje się on „trumną kulistą" i „grobem szklanym":

> Za tą kulą snuć się muszę krok w krok,
> Już pół roku, jeszcze może długi rok...

mówi w wierszu pod tytułem Gorączka. Teraz w Worochcie powstają wspominane już wiersze o gruźlicy: Kołysanka jodłowa, Skazańcy, Kantyczka Moribundów, a nadewszystko niedokończona Pieśń o zagładzie. Wszystko się tu obraca około gorączki, płuc wypluwanych, resztek życia, które

odmierza regularnie. codziennie i nieubłaganie termometr. Z temi nastrojami kłóci się przyroda, w której ongiś widział radość życia i siłę wegetatywną pędu w promieniach słońca i zieleni drzew. Teraz:

Koniec wróżą lekarze...
Resztka życia kołata,
Lecz już płuca wyplute.
Jeszcze jeden dzień lata
Gruźlikowi nad Prutem.
A tu z każdym dniem jodły
Stokroć w lipcu wonniejsze.
Cóż—i jodły zawiodły,
Nie pomogło powietrze...
W termometrze rtęć skoczna
Jutro się uspokoi...

a wtedy

Poprzez wonność jodłową
Pójdą, każde w swą stronę:
Ciało — w ziemię lipcową,
Dusza — w góry zielone!
(Koł. jodł.)

Wreszcie w Kantyczce Moribundów zjawia się już modlitwa, lecz jakże zrezygnowana i bezsilna, skoro poeta modli się w rozdzierającym smutku duszy, aby Pan Bóg, ni mniej, ni więcej, tylko zatrzymał termometr:

Zdradnej rozkaż rtęci,
Niech się nie pnie wzwyż,
Bo się nam wyświęci
Trumna, dół i krzyż!

podczas gdy cały poemat o owej rtęci zdradliwej mamy w Pieśni o zagładzie.
Rtęć

Skacze, a potem się posuwa
Kreska po kresce, w górę wspina
W rureczce szklanej srebrna lawa...
Wiemy, nadchodzi Jej godzina!
Krwią się zabarwia zwiędła cera,
W zamglonem oku światło drga,
Światełko fosforyczne płonie.
A słupek rośnie w termometrze,
Wyżej i wyżej cyfrą wzbiera —
I tylko wilgotnieją dłonie,
Tylko oddechy coraz prędsze,
Tylko znużenie coraz większe
I świat zasnuwa senna mgła.

Wystarczy powyżej przytoczonych przykładów, aby móc nazwać Lieberta poetą gruźlicy, która musi mu z nieubłaganą koniecznością nasuwać myśli o nieuknionym końcu z wizją pogrzebu i trumną. Szczególnie prześladuje go obraz trumny. Jeszcze przed ostatecznym wybuchem gruźlicy, w roku 1928, napisał wiersz p. t. Arka, którą to arką jest trumna. Teraz w Worochcie powstaje Rapsod żałobny, w którym znów występuje motyw trumny i wizja pogrzebu, jak wyobrażał go sobie — w Worochcie. Skoncentrują się te obrazy w wierszu p. t. Gorzkie wióry. Sam motyw wiórów jest również trumienny...

Ciosam kształty, ciosam trumny,
Wióry gorzkie — słowa lecą —

ale nie może się odjąć tym obrazom śmierci, która mu wypełnia twórczość w przeczuciu zgonu, gdy całą iścizną duszy, przeciwnie, rwał się do życia. Pisze o sobie teraz w przejmującym smutku:

Ciosał, ciosałbym kolebkę,
Co to pieści, sama nuci...
Cóż,—niech taką wygotuję,
Ręką dotknę, zakołyszę —
Przeraźliwą nutę słyszę,
Pod palcami trumnę czuję.

I dopiero teraz mielibyśmy podstawę do nazywania go poetą śmierci, skoro sam stwierdza, że ona, t. j. śmierć, przygniotła mu twórczość, jak mówi o sobie:

...kształty ciosam,
Wióry lecą, rosną, duszą,
Aż całego mnie przyprószą,
Aż się spiętrzą pod niebiosa...

Ale tu zjawia się zagadnienie nowe, że słowo twórcze jest darem Boga i dlatego te wióry śmierci nazwie poeta nietylko „wiórami gorzkiemi", ale i „wiórami bożemi". I na tem wszystko się kończy: gdyby Liebert był poetą śmierci, to Gorzkie wióry byłyby początkiem jej zagadnienia, gdy tymczasem na nich jego wiersze o śmierci się kończą, poczem przechodzimy już do zagadnień religijnych, do istotnych jego „wiórów bożych"

* * *

(dok. nast.)

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI.

PRAWO MAŁŻEŃSKIE W POLSCE.

W siedemnastym roku niepodległości znowu aktualnem się staje prawo małżeńskie. Po uchwaleniu konstytucji marcowej, która jako dzieło wybitnie kompromisowe nie mogła zadowolić ani zachowawców, ani postępowców, aktualnemi stawały się kolejno różne ustawy, a między niemi przedewszystkiem prawo małżeńskie. Różne były koncepcje tego prawa. Liberalizm wychodził z założenia, że małżeństwo jest dobrowolnym związkiem dwojga kochających się ludzi i że ustaje niejako automatycznie z chwilą, gdy kończy się miłość tych dwojga.

Druga, przeciwna tej, koncepcja widziała i widzi w małżeństwie instytucję kościelno-państwową i rodzaj instytucji ascetyczno-pokutniczej. Małżeństwo raz zawarte, jest nierozerwalne i ustaje dopiero ze śmiercią jednego z małżonków. Między temi biegunowo różnemi dwiema koncepcjami zataczają się zygzakowato liczne projekty prawa małżeńskiego, mające na celu zbliżyć z sobą oba bieguny, pojednać nieprzejednane, wytworzyć pewien kompromis, który mógłby ostatecznie zostać przyjęty przez obie strony, ale który nie zadowoliłby, rzecz prosta, ani jednej ze stron.

Taka jest teorja. Jaka jest praktyka? Liberalizm wychodzi ze słusznego założenia, że człowiek wolny i prawy jest dobry i że on sam decyduje wyłącznie z kim ma żyć we wspólnocie małżeńskiej. To założenie jest naogół trafne. Obywatele nie rozwodzą się dla przyjemności. Współżycie małżeńskie wytwarza więzy trwalsze od jakichkolwiek ustaw. Nawet tam, gdzie rozwód jest rzeczą względnie łatwą, obywatele korzystają z niego rzadziej, niżby to wynikało z założeń doktryny katolickiej. W sąsiednich Niemczech np. nieprzezwyciężony wstrt (unüberwindliche Abneigung) jednej ze stron wystarcza do przeprowadzenia rozwodu. Okazuje się jednak, że z tego prawa korzysta względnie drobny odsetek małżeństw niedobranych. W Poznańskiem, gdzie w ciągu dziesięcioleci obowiązywała ustawa niemiecka, rozwodów było bardzo mało.

Jeszcze ciekawszy jest przykład Rosji sowieckiej. Absolutna wolność zawierania i rozzwiązywania małżeństw dawała naszym zwolennikom małżeństwa nierozerwalnego szerokie pole do wykpiwania tych małżeństw i do przepowiadania „rui i poróbstwa“ na największą skalę, w rzeczywistości jednak wytworzyła sytuację nieoczekiwaną. Bolszewizm zwalczał romantyczną koncepcję miłości drobnomieszczańskiej i starał się zdyskwalifikować ją całkowicie. Swoboda w rozwiązywaniu związków małżeńskich miała zniweczyć zupełnie wszelki indywidualizm w miłości i przykuć jednostkę do społeczeństwa wprost absolutnie.

Stało się inaczej, bo wolność życia małżeńskiego odrodziła miłość i spotęgowała więzy życia rodzinnego. Poznikały wszelkie trójkąty małżeńskie, ulega likwidacji prostytucja. Gdy między dwojgiem ludzi powstaje miłość, pierwszem i najbardziej charakterystycznem pragnieniem ich jest, aby ta miłość trwała wiecznie. W pojęciu „związku“ małżeńskiego słychać „więzy“. Dopiero tragiczne powikłania uczą ludzi, że miłość jako bezcenny dar życia musi być przez obie strony starannie pielęgnowana. Otóż małżeństwo w jego koncepcji nierozerwalnej wytwarza pewne nastawienia uczuciowe, nie sprzyjające pielęgnowaniu miłości. To, co jeszcze wczoraj było najtkliwszem przywiązaniem, staje się raptem przymusem, twardym i bezwzględnym, z sankcjami cywilnemi i karnemi. Rozczarowania tragiczne nic tu nie znaczą. Nikogo nie obchodzi, że mąż subtelnej dobrej kobiety jest pijak i karciarz, że niszczy życie własne, życie żony i dzieci. Nikt też nie przejmuje się tem, że żona porządnego obywatela okazuje się czasem bardzo pospolitą erotomanką i że męża swego traktuje tylko jako parawan swoich namiętności.

Otóż w Sowietach wolność rozejścia się małżonków każdej chwili wytworzyła sytuację zgoła nową. Mąż, kochający swoją żonę, wie, że może ona każdej chwili odejść od niego i dlatego na wszelki sposób zabiega o jej względy, stara się o przywiązanie jej do siebie. Żona, wiedząc, że mąż jej jest człowiekiem wolnym, czyni w stosunku do niego to samo, co on do niej. Powstaje troskliwe pielęgnowanie miłości, bo tego żaden instytucjonalizm nie zwala na policjanta, sędziego, prokuratora, czy na Kościół. Korespondenci pism europejskich piszą ze zdumieniem, że małżeństwa sowieckie są trwałe i że miewają po kilkoro dzieci. To są fakty znane już powszechnie i kpiny z małżeństw sowieckich ustały od dość dawna. Wolność jest najlepszą wychowawczynią.

Państwo demokratyczno-liberalistyczne uniezależniało się od Kościoła w imię wolności jednostki i dlatego małżeństwo było w niem traktowane jako instytucja nawskroś laicka. Władze rejestrowały związki małżeńskie, dawały im ochronę prawną i nie troszczyły się o to, czy nowożeńcy po zawarciu związku małżeńskiego przed urzędnikiem stanu cywil-

nego udają się do kościoła, aby wziąć ślub kościelny. To było mądre i piękne: człowiek wierzący szedł do kościoła i prosił o pobłogosławienie jego związku, człowiek niewierzący nie potrzebował kłamać nikomu i nie był zmuszony udawać się do kościoła.

Państwo integralne, faszystowskie i narodowo-socjalistyczne, domaga się niezależności od Kościoła w imię swoich własnych ziemskich interesów. Ale to nowoczesne państwo całkowite uważa zarazem religję i jej instytucje za swoje i dlatego obywatelowi organizuje życie religijne według własnych swoich celów. Np. Mussolini uważa, że chrześcijaństwo byłoby znikło z widowni świata jako drobna sekta żydowska, gdyby nie Rzym, i że papiestwo bierze potęgę i blask z Rzymu cesarskiego, a nie odwrotnie, ale jednocześnie nie odwraca się on ani od Kościoła, ani od papiestwa, bo te sprawy są sprawami obywateli jego państwa. Mussolini daje bezwzględne pierwszeństwo państwu, a w ustawodawstwie małżeńskiem stoi na gruncie instytucjonalizmu państwowego. Nie ma jednakże nic przeciwko temu, jeśli wierzący obywatel weźmie ślub w kościele o ile dany ksiądz przyjmie na siebie obowiązek urzędnika stanu cywilnego. Gdy chodzi o rozwód, obywatel państwa integralnego może się rozwieźć według norm prawnych w danem państwie obowowiązujących, przyczem państwo nie troszczy się wcale o stronę religijną rozwodu.

Nasi ustawodawcy nie stoją ani na stanowisku liberalizmu, ani na stanowisku państwa całkowitego, ale liczą się z potęgą Kościoła rzymskiego, opartego na szerokich masach ludowych. I tu zaczynają się poważne trudności, bo Kościół rzymski nigdy nie robi najmniejszych ustępstw partnerom skłonnym zgóry do kompromisu. Zresztą w Polsce Kościół rzymski uważa stanowisko swoje za tak utrwalone i decydujęce, iż w sprawie ustawodawstwa małżeńskiego zajmuje postawę nieprzejednaną. Według konkordatu Kościół „rządzi się własnemi prawami", a małżeństwo uważa za instytucję wyłącznie kościelną i podlegającą juryzdykcji kościelnej. Jakie ma być małżeństwo o tem decydować chce wyłącznie on, a państwo ma być tylko tem ramieniem świeckiem, który służy Kościołowi do przeprowadzania jego planów i zamierzeń.

Gdyby całe społeczeństwo było integralnie katolickie, to jest, popierwsze gdyby nie było w Polsce mniejszości wyznaniowych, i podrugie gdyby wszyscy katolicy wierzyli bez zastrzeżeń we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, takie stanowisko byłoby zgoła racjonalne i nikt nie miałby prawa do wtrącania się w wewnętrzne sprawy Kościoła. Ale w Polsce są liczne mniejszości wyznaniowe, które na małżeństwo spoglądają zgoła inaczej, niż Kościół rzymski, a następnie liczne rzesze katolików nie podzielają już we wszystkiem wierzeń swego Kościoła. I dlatego nie godzą się na taką koncepcję małżeństwa, jaką ma Kościół rzymski.

I jeszcze jedna rzecz: obok wielkiej masy ludności, która i w czasach dzisiejszych żyje wierzeniami i wyobrażeniami średniowiecznemi, istnieje u nas, jak w każdym kraju cywilizowanym, duża mniejszość kulturalna, twórcza, krytyczna, pod każdym względem wartościowa. Ona to tworzy wszelkie wartości kulturalne i ona dźwiga na sobie odpowiedzialność za pomyślność narodu i państwa. Ta mniejszość kulturalna nie patrzy na małżeństwo jako na instytucję ascetyczno-pokutniczą, bardzo często nie wierzy nawet w indywidualną nieśmiertelność duszy i nie rezygnuje z niczego, co dać jej może w postaci obowiązków i przywilejów to życie ziemskie.

Ta mniejszość, czyli elita umysłowa i moralna, ma życie wyjątkowo ciężkie w naszych warunkach. Obok powinności wojskowej, ciąży na niej powinność naukowa i kulturalna w najszerszem znaczeniu słowa. Osiem lat gimnazjum, cztery — pięć lat uniwersytetu, potem zaś wywalczanie sobie stanowiska w świecie, to najmniej piętnaście — osiemnaście lat wielkiego trudu. Jeśli członek tej mniejszości zaczął taką walkę w dziesiątym roku życia, to dopiero około trzydziestki może pomyśleć o założeniu własnego ogniska rodzinnego. Każdy rok, ba każdy miesiąc i dzień tak ciężko wywalczonego życia jest tu drogi, więc jeśli przy wyborze małżonka zaszła pomyłka, to człowiek współczesny chce tę pomyłkę naprawić. Zresztą każda pomyłka społeczna powinna być naprawiona, jeśli nie ma obarczać całego społeczeństwa swojemi skutkami.

I oto człowiek kierowniczy, twórczy umysł i wrażliwe odpowiedzialne sumienie spotyka się z przedstawicielem średniowiecznej mitologji, która mu zagradza drogę do tego minimum szczęścia, jakie jest osiągalne na ziemi. W imię czego? W imię woli Bożej? Chrystus powiedział, że nie człowiek jest dla sabatu, ale sabat dla człowieka. Tak samo jest z małżeństwem. Nie wszyscy stają się małżonkami i niema żadnych przepisów religijnych, że stać się nimi koniecznie mają. Nie człowiek istnieje dla małżeństwa, ale małżeństwo dla człowieka. Zresztą Ewangelja przewiduje rozwód w wypadku cudzołóstwa, czyli w wypadku gdy małżeństwo dwojga ludzi przestaje być małżeństwem.

Zdaje się, że z tą elitą umysłową, twórczą i wartościową, liczyć się należy koniecznie. Bismarck, kanclerz żelazny, który umiał łamać cudzą wolę i który nawet generałom niemieckim potrafił rozkazywać podczas wojny, bał się niezadowolenia mniejszości kulturalnej. „Niezadowolenie mas zależnych może wywołać chorobę ostrą, na którą zawsze po-

siadamy lek, niezadowolenie mniejszości kulturalnej wytwarza chorobę przewlekłą, której rozpoznanie jest trudne, a leczenie jeszcze trudniejsze". To są jego słowa. Twórcza, krytyczna mniejszość, która już nie podziela wiary klerykalnej, ale przeciwnie, tworzy sobie własną religijność, opartą na głębokiem przekonaniu, nie da sobie przepisywać form istnienia przez średniowieczne mitologje. To jasne.

Z katolickiej Irlandji, która ongi wysyłała w świat apostołów rezygnacji i ascezy, idą obecnie apostołowie terrestryzmu. Joyce, Irlandczyk z pochodzenia i przekonania, wywodzi w jednem ze swoich dzieł: „Nie będę służył niczemu, w co przestanę wierzyć, czy to będzie dom rodzinny, czy ojczyzna, czy Kościół". Takich głosów odzywa się coraz więcej. Jeśli u nas przejdzie projekt prawa małżeńskiego, podyktowany przez klerykalizm panujący, to następstwem tego będzie jeszcze większa triangulacja małżeństw niż jest obecnie. Popęd, który pragnie być uczciwym i szczerym, zostanie zmuszony do obłudy i kłamstwa. Czy to wyjdzie na dobre państwu i społeczeństwu? Napewno nie.

ROMUALD BALAWELDER.

LISTY Z BELGJI.

Antwerpja, w lipcu.

Kochany Zdzichu! — Podróżując po wielu krajach Europy, omijaliśmy Belgję. Zdawało nam się, że w kraju tym nie znajdziemy nic szczególnie godnego uwagi. A jednak — przekonasz się, że Belgję ominąć — znaczy wiele stracić. Cieszę się, że—jak w ostatnim liście donosisz — zdecydowałeś się i Ty wyjechać za parę miesięcy do Antwerpji oraz paru innych miast belgijskich. Prosisz mnie o pewne informacje rzeczowe i sprawozdanie z osobistych wrażeń. Owszem. Sądzę, że mój reportaż stanie się dla Ciebie nową zachętą w twem postanowieniu do podróży i że w czasie zwiedzania Belgji ułatwi Ci nieco orjentację i pogłębi niejedno twoje przeżycie. A więc zaczynam.

Po czternastu godzinach jazdy przez niespokojne, jakby trochę podenerwowane, Morze Północne wjechaliśmy na gładkie, zrównoważone wody zachodniej Skaldy. Wąska, długa zatoka nie buntuje się przeciwko mocnym okowom holenderskiego lądu. Siedzi cicho, wtulona między wyspy i stały ląd prowincji Zelandji, podnosząc co dwanaście godzin wody swe, nabrane z morza Północnego o 4—8 metrów, aby ułatwiać największym nawet statkom wdzieranie się daleko—aż do portu Antwerpji. Zdaje się, że woda kocha człowieka w tem zaciszu i że człowiek pokochał te wody. Ustroił brzegi wieńcem barwnym miast handlowych, miejscowości kąpielowych, fortyfikacyj, zielonych pól, doprowadził w paru punktach stalowe drogi szyn aż do zatoki. Zgoda jest jednak pozorna. W gruncie rzeczy między człowiekiem a morzem trwa w tem miejscu walka nieubłagana, walka na śmierć i życie. Wielokrotnie (1421, 1532) zwycięstwo było po stronie wody morskiej, która w bezwzględnym ataku zdobyła większą część lądu, zalała go, zniszczyła i odeszła, by znowu powrócić. Ale mądry, zapamiętały Holender zabrał się wreszcie do walki z morzem, wzniósł olbrzymie wały niby okopy nie do zdobycia i nie puścił więcej fali. Do dziś dnia walczy i zwycięża. Słusznie płynący lew na herbie Zelandji nosi dumne, wzywające słowa: „Luctor et emergo" — zmagam się lecz jestem zwycięzcą.

Zatoka zwolna się zwęża. Brzegi przybliżają się do nas, statek skręca na południowschód. Historja postawiła tutaj sztuczną granicę między Holandją i Belgją. Dzieje tej absurdalnej granicy, która zostawia ujście Skaldy — wyłączną podstawę rozwoju Antwerpji, jednego z największych portów świata—w ręku obcego państwa, są jakby krzywą, ilustrującą wzrosty i upadki świetności Antwerpji. Mało które miasto przechodziło tak olbrzymie wahania od najwyższej chwały, piękności i zamożności do skrajnej nędzy, upokorzeń, zaniedbania. Posłuchaj tylko.

Urodziła się Antwerpja — jak wszystkie prawie miasta—z nieznanych rodziców i w nieznanym czasie. Rosła szybko i szczęśliwie, czerpiąc siły z lądu i morza. Tak było parę wieków. Naraz w 836 roku napadli na nią Normanowie, złupili, zniszczyli, że, — zdawało się, — ślad po młodocianej zaginie. Ale miasto, urodzone w szczęśliwem miejscu, jest jak Feniks odradzający się wiecznie z popiołów.

Antwerpja zmartwychwstaje w jedenastym wieku, jako młodociany rycerz kresowy, wódz Marchji Niemieckiej, mającej bronić Niemiec przed atakami wojowniczej Flandrji. Odrodzone miasto ma serce nietylko rycerza. Nie dla walki i dla wojennych wawrzynów w takiem miejscu się urodziło. Znajduje w sobie przedewszystkiem duszę sprytnego kupca. Gdzie-

kolwiek wyciągnie ramiona, trafia na niezmierne bogactwa miast Niemiec, Francji czy Anglji. A pod bokiem morze, które łączy z całym światem. Zaczyna Antwerpja zwozić z dalekich, ociężałych lądów towary i posyłać je na dalekie kraje zamorskie; utrzymuje stały kontakt z Portugalją, przewozi jedwabie i złote wyroby z Włoch, zboże z krajów nadbałtyckich. Pośrednik napycha kieszenie złotem.

Do szybkiego osiągnięcia kolosalnych bogactw pomaga Antwerpji jeszcze szczęśliwy los. Oto przez złośliwe zamulenie kanału została wspaniała Brugja odcięta od morza. Antwerpja zaczęła teraz ściągać do siebie kupców z całej Europy; między innemi zwabiła w 1505 roku kantor potentatów finansowego świata, Fuggerów z Augsburga. Wreszcie w 1545 roku chwyciła ster związku Hanzeatyckiego. Odtąd już każdy poważniejszy kupiec sam kwapił się z stworzeniem reprezentacji w Antwerpji. Cały handel Europy Środkowej z Portugalją,— a więc z dalekim Wschodem—skupił się w rękach kupców antwerpskich. Bogactwa płynęły bystrym potokiem do kieszeni stupięćdziesięcio-tysięcznej rzeszy szczęśliwych mieszkańców. Pałace, kościoły wyrastały jak klejnoty. Antwerpja stała się najbogatszem i najpiękniejszem miastem w chrześcijańskim świecie. Prześcignęła Genuę i Wenecję—księżniczki bezkonkurencyjne dotąd pod względem zamożności. Nic dziwnego, że w świat daleki poszło niby głos zwycięskiej fanfary, przysłowie: „Ziemia jest pierścieniem, a Antwerpja brylantem w tem pierścieniu". Największy monarcha ówczesny w Europie, cesarz Karol V, urodzony w Flamandji, darzył Antwerpję wyjątkową sympatją i opieką.

Po osiągnięciu szczytów powodzenia stacza się nasza bohaterka w przepaść za następcy Karola V, Filipa II. Srogi wielkorządca książę Alba, ogarnięty dziką namiętnością prześladowania protestantów, ustanowił sądy, które wygnały z ojczystego miasta tysiące najpoważniejszych, najpracowitszych obywateli. Ci, osiedliwszy się gdzieindziej, głównie w Anglji, stali się tam chlubą i pionierami różnych gałęzi przemysłu. Pobożny ks. Alba potrzebował pieniędzy na utrzymanie wojsk hiszpańskich, sprowadzonych na nieszczęście Antwerpian; musiał nakładać raz po raz coraz to większe podatki. Gdy podnosiły się głosy niezadowolenia, gdy wybuchały bunty zrozpaczonych, — z odbudowanej Cytadeli szły wojska na ulice oraz place miasta i karały opornych, plądrując przy okazji, grabiąc, mordując bez litości i opamiętania. W dniu 4 listopada 1576 roku rozwydrzone oddziały hiszpańskich wojowników, wpadłszy na ulice Antwerpji, rozpoczęły rabunek i rzeź mieszkańców. W walkach ulicznych, w płomieniach podpalonych domów zginęło dnia tego 7 tysięcy mieszczan, spłonęło 600 gmachów, a przytem wywiezione zostały ogromne bogactwa. Ta „furja hiszpańska" pogrążyła miasto w żałobie i smutku. Nie na długo. W sierpniu następnego roku podnoszą ambitni Antwerpianie głowę, zdobywają Cytadelę, widomy znak przemocy obcego wojska burzą fortyfikacje. W ciągu kilku lat spokoju goją ciężkie rany. Przyszły jednak chwile jeszcze tragiczniejsze. W 1584 roku podchodzi pod miasto Aleksander Farnese i rozpoczyna oblężenie. Bohaterska obrona przedłuża jedynie czas poddania miasta. Po 14-miesięcznem oblężeniu dnia 17 sierpnia 1585 roku wpada Antwerpja w ręce wroga, który doprowadza zdobyte miasto do zupełnej ruiny. Wszyscy protestanci zmuszeni zostali do opuszczenia stron ojczystych.

Odtąd handel, — podstawa bytu Antwerpji — wydarty jej został przez miasta Holandji, głównie Rotterdam i Amsterdam, które zdołały oderwać się od Hiszpanji. Antwerpja została odcięta od morza. Traktat westfalski 1648 roku przypieczętował „legalnie" odcięcie ujścia Skaldy od Antwerpji. Pognębione miasto straciło wskutek wymienionych ciężkich wydarzeń 2/3 ludności.

Przez dwa wieki przeżywa bogata i kwitnąca ongi królowa portów europejskich okres wegetacji. Dopiero wojny po rewolucji francuskiej wlały nową krew życia w osłabłe miasto. Przyłączona 5 listopada 1794 roku do Francji, uzyskuje Antwerpja swobodne wyjście na morze. Napoleon I, uznając doskonałe położenie Antwerpji, roztoczył nad nią czynną opiekę, zabrał się do rozbudowy jej portu. Pragnął uczynić z tego miasta „Londyn kontynentu". Cóż, kiedy gwiazda największego cesarza po pewnym czasie zbladła. Z początkiem 1814 roku bombardowana przez wojska angielskie i pruskie musiała się Antwerpja poddać. Odtąd aż do 1830 roku pozostawało miasto wraz z Belgją w posiadaniu Holandji, na czem zresztą zyskało, ujmując w swoje ręce handel z holenderskiemi kolonjami. W wymienionym przed chwilą roku oderwała się Belgja od Holandji przy pomocy Francji. 1863 roku wykupiła Antwerpja cła na Skaldzie zapewnione w 1839 Holandji i odtąd ponownie rozrastać się poczęła z zawrotną szybkością, stając się najważniejszym portem Europy. Ujęła w swoje ręce handel zbożem, wełną, tytoniem, kawą, naftą, drzewem, bawełną, ryżem, kauczukiem i t. p. Obecnie port w Antwerpji może pomieścić około 8 tysięcy sto okrętów o pojemności około 13 miljonów ton. W 1925 roku wykazała Antwerpja największy ruch okrętowy z pośród wszystkich portów świata, a mianowicie wpuściła i wypuściła statki o pojemności 40 miljonów ton. Korzystając z rozwoju handlu, doszedł do znakomitego rozkwitu i przemysł. Słynne są fabryki koronek, cygar, szlifiernie djamentów i t. d.

Od 1859 roku stała się piękna Antwerpja

jedną z najsilniejszych twierdz Europy. Stalowo-betonowy pierścień 47 kolosalnych fortów okalał miasto. Nieubłaganemu naporowi wojsk niemieckich, gwałcących neutralność Belgji, najnowocześniejsze urządzenia nie mogły jednak stawić tamy. Oblegana od 27 września do 9 października 1914 roku, szarpana przez pociski najcięższych armat niemieckiej artylerji, musiała Antwerpja się poddać. Wrogie wojska przeszły rozwalone fortyfikacje, zajęły miasto. Po 4 latach zmusiła Nemezis dziejowa wojska niemieckie do odwrotu. Wtedy, wracając do ojczyzny, grabili Niemcy co się dało, a co się wynieść nie dało, niszczyli. Mieszkańcy tutejsi do dziś dnia przypominają sobie ze zgrozą czasy inwazji niemieckiej.

Ale nie uprzedzajmy faktów i wracajmy do naszej jazdy okrętowej. Dopływamy więc do Antwerpji. Przyjmuje nas wąskie koryto rzeki Skaldy, strzeżone przez nowe forty. Na lewo długie szeregi stalowych olbrzymów morskich. Stoją cicho, ponuro, bezdymnie. Kominy statków patrzą w niebo wyziębłemi lufami, bezrobotne, choć zdrowe i mocne, jak miljonowe rzesze ludzi, daremnie oczekujących na pracę.

— Kryzys — mruczy inżynier Tadeusz.

Otóż właśnie kryzys wdarł się dzisiaj i do Antwerpji, unieruchomił setki kolosów morskich, uwięził je na kotwicach, zapchał niemi bezużytecznie kanały. Setki miljonów franków spoczywają na powierzchni wody.

Dla nas radość z cudzego zmartwienia. Albowiem nasza Gdynia rozwija się w czasie kryzysu, pęcznieje, nabiera z dniem każdym tuszy, nabiera ruchu, mocy, wzbogaca siebie i kraj cały, odbiera obcym portom chleb polski, ongi zagrabiony przez innych, nuci pieśń najpiękniejszą: pieśń rozwoju i pracy.

Wpływamy do portu na prawym brzegu Skaldy. 88 km. od ujścia rzeki. Podczas gdy obsługa portowa zajęta jest pracą uwięzienia naszego statku do żelaznego słupa przy pomocy lin grubości ręki, przypatruję się panoramie miasta. Nie zazdrość mi w tem miejscu. Wszędzie mniej więcej to samo... Węzły szerokich i wąskich ulic, zbiegowisko murowanych domów, banalnych w architekturze, trzyma w garści staruszków gotyckich, czy podstarzałe damy barokowe, a nad mrowiem kamienic zarozumiale wyrastają wieże kościołów, zmuszając do podziwu i zadzierania głowy. Ładne to jest wszystko, owszem. Takie same — a inne jak gdzieindziej — jak ludzie wszędzie są do siebie podobni, a przecież tak różni.

Zeszedłem z okrętu. Dzień zapowiadał się upalny, męczący, duszny. Po morskiem powietrzu, — trunku wolnego człowieka, — dusiło powietrze ulic, zakażone dymem samochodów, zapoconych ludzi. Ale turysta jest jak rycerz krzyżowy, dla zgoła duchowej natury walczy z smrodem, głodem, upałem, niewygodami, byle, byle... wynieść garść wrażeń i roznieść je po świecie na chwałę natury i ludzi.

Aby nie być zdanym na wyłączne obcowanie z zabytkami miasta i obcymi ludźmi chętnie skorzystałem z towarzystwa dwóch inżynierów.

— Dokąd idziemy? — pyta inżynier Juljusz.

— Wszystko jedno dokąd. Wczoraj modliliśmy się w kilkunastu kościołach Londynu, dzisiaj możemy na odmianę zapoznać się naprzód z mieszkaniami Boga belgijskiego, tem bardziej, że—jak słyszałem—największą atrakcją Antwerpji jest katedra, a w niej—nieśmiertelny Rubens. Otóż właśnie Rubens. Antwerpja ma dla turysty wyraźne oblicze jako ośrodek flamancko-brabanckiej szkoły malarskiej. Musimy zwiedzać miasto pod znakiem mistrzów pendzla światowej sławy. Rubens, Van Dyck, Matsys, dwaj Teniersowie, Jordaens, de Vos, G. Zegers. — Wspaniali przedstawiciele sztuki Niderlandzkiej zapraszają w Antwerpji na gody; jest w czem wybierać, jest czem upić się w gronie dostojnych mistrów.

Ruszamy...

— — — — — — — — — — —

(c. d. n.)

Nowa książka.

„SURSUM CORDA".

Pod tym tytułem ukazał się przed paru tygodniami w druku zbiór kazań Ks. Edwarda Wendego, Proboszcza Parafii ewangelicko-augsburskiej w Kaliszu i Superintendenta Kaliskiej djecezji.

W polskiem piśmiennictwie ewangelickiem, tak niesłychanie ubogiem, ukazanie się pracy Księdza Sperintendenta Wendego jest wydarzeniem niezmiernie doniosłej wagi. Specjalnie bowiem dział homiletyczny piśmiennictwa ewangelickiego wykazuje braki rażące. Zbiór kazań ś. p. Ks. Otto jest zdaje się jedyną publikacją tego rodzaju z czasów ostatnich, dziś już zresztą także mocno przestarzałą. Do-

brze się więc stało, że lukę tę wypełnią kazania Ks. Wendego.

Są to kazania, które przemawiają do umysłu i serca człowieka dzisiejszego. Mówca liczy się z tem, że ma przed sobą słuchacza, który do odwiecznych prawd Bożych odnosi się obojętnie, często z dużą dozą lekceważenia, a w najlepszym razie targany jest ciężkiemi wątpliwościami i zmęczony wewnętrznem zmaganiem się i walką. Z pełnem zrozumieniem psychiki nowoczesnego człowieka i odczuciem jego zwątpień i wewnętrznych sprzeczności przemawia do niego kaznodzieja mową spokojną, przekonywującą, daleką od patosu, a jednocześnie ściśle biblijną, ukazując mu źródło jego niepokojów i tego, który go jedynie z niedoli jego duchowej wyzwolić może— Chrystusa! W zdaniach krótkich, w słowach dobitnych atakuje mówca jego wolę, mniej zwracając uwagi na sentyment i uczucie. Sam kaznodzieja stoi na gruncie szczerej, pozytywnej wiary biblijnej i przemawia do słuchacz swoich z głębokiego wewnętrznego przekona nia, to też ma się wrażenie, że to przekonani zjednywa ich wolę i zdobywa ich serca dl Chrystusa!

Wyżej powiadziane czyni książkę K: Wendego bardzo cennym nabytkiem w litera turze religijnej polsko-ewangelickiej. Poleci ją też możemy gorąco wszystkim, którzy v ciemności zwątpień szukają światła prawdy Zwłaszcza inteligentny czytelnik znajdzie v niej wiele, co mu przemówi do serca i prze konania.

Książka Ks. Wendego zawiera zbiór 6(kazań i przemówień okolicznościowych, wypo wiedzianych w kościele ewangelickim w Kali szu. Cena jej wynosi zł. 8 i jest do nabycia w księgarniach: W. Mietkego, Warszawa Wspólna 10; G. Szyllinga, Warszawa, Szpitalna 10 i M. Rennera, Łódź, Piotrkowska 165.

S.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

WARSZAWA.

W dniu 29 stycznia r. b. odbyło się Ogólne kwartalne Zgromadzenie Członków Zboru naszego stołecznego, na którem, po przyjęciu sprawozdania ogólnego za IV kwartał roku ubiegłego, zatwierdzone zostały budżety na rok 1935-y, a mianowicie: a) Funduszu Ogólnego (administracyjnego) łącznie z domem dochodowym i b) instytucyj dobroczynnych, t. j. Przytułku dla Sierot i Domu Starców i Kalek.

Następnie zatwierdzoną została nowa, na zmienionych zasadach oparta, taryfa opłat za czynności religijne, wreszcie dokonano wyborów 2-ch członków Komisji Rewizyjnej.

RADA KOŚCIOŁÓW.

Dnia 29 stycznia r. b. odbyło się w Warszawie posiedzenie Rady Kościołów Ewangelickich w Polsce. Rada dokonała wyboru Przewodniczącego na lata 1935 — 1937 włącznie w osobie Ks. Biskupa D-ra J. Burschego i jego zastępcy w osobie Ks. Superiutendenta Generalnego D-ra P. Blaua, zajmowała się sprawą górnośląską i projektem ustawy ramowej o stosunku Państwa do Kościoła. W toku wyczerpującej dyskusji n. t. sprawy górnośląskiej uchwalono między innemi prowadzić dalsze konferencje naczelnych władz Kościoła ewangelicko-augsburskiego i ewangelicko-unijnego na G. Śląsku. Wiadomość o wznowieniu prac Rady przyjęła kościelna prasa krajowa i zagraniczna z zadowoleniem. Ew.-Pol.

WIADOMOŚCI Z WILNA.

W niedzielę, 27 stycznia r. b. odbył się w naszej kaplicy pierwszy koncert religijny. Była to dla nas uroczystość nielada: pierwsza impreza, pierwsze wystąpienie na szerszej arenie życia.

Panna Wacława Cumftówna, nasza parafjanka, pianistka, uczenica Melcera i Orłowa, zorganizowała trio muzyczne, składające się z fortepianu, wiolonczeli i skrzypiec. Ponadto występowali solo: sama inicjatorka koncertu, p. Maksymiljan Misiewicz, wiolonczelista i p. Józef Rewkowski, znany w Wilnie baryton. Na program koncertu złożyły się takie utwory muzyczne, jak: Ave Marja — Bach — Gounod'a i Andante z trio d-moll — Mendelsohn'a (trio); Largo e mesto z Sonaty Beethoven'a i etude Chopin'a w wykonaniu p. W. Cumftówny; „Sanctus et benedictus"—Beethoven'a, „U stóp krzyża"— Chopina i „O władco świata"—Moniuszki.—w wykonaniu p. Józefa Rewkowskiego; wreszcie—Col Nidrei—Brucha i Andacht—Popper'a,—w wykonaniu p. M. Misiewicza. Ponadto nasi Szanowni Interpretatorzy genjuszów muzycznych chętnie darzyli zebraną publiczność naddatkami muzycznymi i wokalnymi. W braku znajomości nie podajemy fachowej recenzji, zaznaczyć jednak pragniemy, że trio było wyśmienicie zgrane, a solowe występy, jak w doborze utworów tak i w wykonaniu, były bez zarzutu. Koncert dostarczył zebranym prawdziwej uczty duchowej. Kilkadzie-

siąt osób ze zborowników, przyjaciół i znajomych stanowiło przemiłe audytorjum koncertowe. Po 20-ej godzinie słuchacze rozeszli się, unosząc w duszach coś z tej najwyższej miłości, mądrości i mocy, tak hojnie rozsianej przez Boga jak w przyrodzie tak i w duszach ludzkich, a tak zapoznawanej jak w życiu indywidualnem tak i zbiorowem. Po rozejściu się gości i po skromnej herbatce dla naszych kochanych artystów, p.p. W. Cumftówna, J. Rewkowski i M. Misiewicz chętnie darzyli pozostałą garstkę domowników przecudnemi produkcjami.

Koncert odbył się w atmosferze rodzinnej, miłej i pogodnej. Artyści grali bezinteresownie, a cały dochód, składający się z ofiar i wynoszący kilkadziesiąt złotych, zasilił kasę Zborową.

Szanownym i kochanym naszym Artystom składa na tem miejscu Zbór Wileński serdeczne: Bóg zapłać!

WIADOMOŚCI Z ŻYCHLINA.

28 grudnia r. ub. odbyła się na plebanji tradycyjna choinka dla naszej dziatwy. Gdy przed 11-u laty miejscowy Ksiądz Administrator inicjował choinkę zebrał u siebie 4-o dzieci. Obecnie roiło się od dziatwy, gdyż było ich do 30-u. Już po godzinie 14-ej dzieci nietylko z Żychlina, ale i z okolicznych i dalszych wiosek (Janowice, Krągola, Żdżary i Tartak) zaczęły ściągać na plebanję.

Pan Kantor z żoną serdecznie zajęli się dziatwą. Choinka była prześliczna. Każde z dzieci zostało obdarowane łakociami i rzeczami służącemi do ubrania. Ciepłe rzeczy nadsyła rok rocznie dla dziatwy Żychlińskiej ofiarna Pani Anna Diehlowa. Gwaru i radości nie było końca. Dziatwa uwijała się po wszystkich pokojach plebanji. Młoda Pani E. Fibichowa, żona p. kantora, zorganizowała różne gry i śpiewy chóralne. Rozbawiona dziatwa zaledwie po godzinie 20-ej, po traktamencie opuściła plebanję, unosząc ze sobą dużo miłych i radosnych przeżyć, które przetrawiała długo jeszcze w wiejskiej ciszy. Już w styczniu Siostra Mary Tosio przesłała również dla dziatwy Żychlińskiej całą pakę z ciepłem ubraniem, jako dar świąteczny.

Szanownym i kochanym Ofiarodawczyniom: Pani Annie Diehlowej i Siostrze Mary Tosio, za Ich hojne dary, Zbór Żychliński składa na tem miejscu serdeczne — Bóg zapłać!

NIEMCY.

Polska Ajencja Telegraficzna podała dnia 8 stycznia notatkę, że prof. Heiler przeszedł na katolicyzm. Jest to jedna z wielu plotek o stosunkach wyznaniowych w Niemczech. Prof. Heiler prostował tę błędną wiadomość w prasie niemieckiej, stwierdzając, że jest członkiem Zboru ewangelicko-luterskiego w Marburgu.

Ew. - Pol.

FRANCJA.

Ku uczczeniu czterechsetlecia Reformacji francuskiej, zapoczątkowanej przez ukazanie się książki o „nauce religji chrześcijańskiej" Jana Kalwina, zrzeszone towarzystwo ewangelickie wraz z „Federacją ewangelicką" urządzają wystawę, która ma zobrazować epokę reformacji (od 1534—1564) we Francji i Szwajcarji. Wystawa ta, urządzona w Bibljotece Narodowej w Paryżu, otwarta będzie od 1 — 31 marca r. b. Obejmie ona następujące działy: dzieła Kalwina, jego poprzednicy, współpracownicy, przeciwnicy. Koleje francuskie dają wszystkim odwiedzającym tę wystawę 50% ulgę kolejową. Wszelkich bliższych informacyj udziela „Société de l'Histoire du Protestantisme français", 54, rue des Saints — Péres, Paris.

Ew. - Pol.

OFIARY.

Na wydawnictwo „Jednoty".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1.	W-a p. D-rwa Melanja Diehlowa---Warszawa	zł.	8.00
2.	W-a p. Zofja Lorecowa	„ zł.	4.00
3.	W-y p. Karol Sander	„ zł.	4.00
4.	W-y p. Dr. Antoni Fiumel	„ zł.	4.00
5.	W-y p. Generał Leonard Skierski	„ zł.	8.00
6.	W-y p. Prezes Leon Błaszkowski	„ zł.	8.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc marzec 1935 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1.	Niedziela, dn. 3.IV (N. Zapustna)	Ks. St. Skierski.
2.	Niedziela, dn 10.III (N. 1 Posu—Wstępna)	Ks. J. Jelen.
3.	Niedziela, dn. 17.III (N. 2 Postu—Sucha)	Ks J. Jelen.
4.	Wtorek, dn. 19.III. Nabożeństwo o godz. 9 i pół rano.	Ks. Płk. K. Szefer.
5.	Niedziela, dn. 24.III (N. 3 Postu---Głucha)	Ks. St. Skierski.
6.	Niedziela, dn. 31.III (N. 4 Postu---Środopustna)	Ks. J. Jelen.

W okresie pasyjnym (poście) Komunja Ś-ta wysługiwaną będzie w każdą niedzielę.

Drukarnia Wydawnicza. Warszawa, Kacza 15. Tel. 667-71.